Niespodziewane spotkanie

Był to dzień, w którym nareszcie wracałem z Aspinwall statkiem płynącym do Nowego Jorku. Jako młody Polak brałem udział w powstaniu listopadowym, więc musiałem emigrować z kraju, wybrałem Amerykę, gdzie otworzyłem dobrze prosperujący biznes dalekomorski. Dzięki temu jako jeden z nielicznych rodaków na wygnaniu żyłem na przyzwoitym poziomie. Dziwnym trafem na statku zauważyłem starca, mocno przyciskającego do piersi nową kupioną książkę o tytule "Pan Tadeusz".

Od razu rozpoznałem ojczysty język i dzieło wieszcza narodu. Starzec, co dziwne, był dobrze zbudowany, lecz jednocześnie przygarbiony i zamyślony. Wyglądał na człowieka, który wiele przeżył.

-Excuse me! - rzekłem bez skrupułów.

-Yes, sir. How can I help you? - powiedział starzec, nadal patrząc w morze.

-Czy jest pan Polakiem?

-Tak, jestem. Dobrze w końcu usłyszeć język ojczysty - wyszeptał tak, jakby wyszedł z letargu, ale też z wyczuwalną ulgą.

-Przepraszam za moje maniery, Bielecki jestem.

-Skawiński, mów mi Skawiński młodzieńcze. Co cię przyciągnęło na tę łajbę?

Wtedy opowiedziałem mu o sobie. Mówiłem o mojej firmie, o żonie czekającej na mnie w domu, o tym, co sprzedajemy i na czym opiera się amerykańska gospodarka. Skawiński w zamian opowiedział mi swoją przedziwną oraz jak gdyby wyciągniętą spomiędzy bajek historię. Mówił o tym, jak walczył w Hiszpanii i w Stanach, jak otwierał własne biznesy i przegrywał ze złym losem, jak rozdał ludziom leki mimo własnej choroby, jak poszedł na emigrację po powstaniu listopadowym i w końcu jak był latarnikiem w Aspinwall. To ostatnie przyszło mu opowiadać z wielkim trudem, wyjaśnił mi, iż w swojej ostatniej pracy zdziczał, wyalienował się ze społeczeństwa i zżył się tak mocno z wyspą, że zapomniał kim jest. Właśnie w tamtym momencie po smutnej twarzy bohatera pociekła jedna, samotna i szklista łza. Spadła ona na sam środek okładki z napisem „Pan Tadeusz”.

Słuchałem go z wielkim zafascynowaniem. Nawet nie zauważyłem, kiedy słońce przestało grzać z tak wielką mocą, ponieważ zachodziło za horyzont. Wtedy jeszcze nieświadomi, co przed nami, zeszliśmy pod pokład do restauracji i tam razem zjedliśmy kolację, opowiadając sobie sławne na całym świecie „Morskie opowieści”, które często jako żeglarze sami wymyślaliśmy, aby się pośmiać i rozpocząć temat rozmowy przy stoliku kawowym lub przy barze. Po kolacji rozeszliśmy się do sypialni, lecz planowaliśmy jutro znów miło spędzić razem czas podczas ciągnącego się godzinami rejsu.

W nocy obudził minie dziwny rechot, jakby żaby, która się dławiła. Powoli wyślizgnąłem się z łóżka i w szlafmycy wyszedłem na korytarz. Był on bardzo długi, dobrze oświetlony dzięki lampom przy każdych drzwiach, których było tam pełno stojących naprzeciw siebie równo jak żołnierze. Ściany nie były płaskie, lecz miały stylowe, płytkie wcięcia, sławne w amerykańskich hotelach. Wydawało się, że odgłos dławiącej się żaby był coraz bliżej. Kiedy zbliżałem się do drzwi z napisem „Engine room”, stał się głośniejszy, lecz nie przekraczał progu głośności, który mógłby wywieść kogoś z łóżka i zaniepokoić. W końcu był środek nocy.

-Co ja do licha robię? – spytałem sam siebie. – Ciekawe co by się stało, gdyby ktoś nagle wyszedł ze swojego pokoju i zobaczył czterdziestoletniego mężczyznę z innego kontynentu w piżamie przy jego sypialni.

Co oczywiste, lecz dla mnie nie wiem czemu dziwne, była na to duża szansa, więc zamilkłem i zbliżałem się coraz szybciej do maszynowni. Wiedziałem, że nie powinienem tam wchodzić. Lecz jako stary i uparty żeglarz musiałem tam zajrzeć. Czułem, że dzieje się coś złego, a ja mogę na to zaradzić. Kiedy miałem już pociągnąć za klamkę od drzwi z czerwonym napisem mówiącym o przeznaczeniu pokoju, wszystko nagle umilkło, w tym ów dziwny odgłos, który ciągle mi towarzyszył i powoli nabierał na głośności. Usłyszałem huk. Coś wtedy wybuchło. Zapadła ciemność, straciłem przytomność.

Obudziłem się na wyspie. Były tam palmy, plaża, niewielka góra oraz las ją otaczający, ciągnący się na dwie do trzech mili . Rozejrzałem się i zobaczyłem połowę wielkiego wraku parowca, którym płynąłem, był „przełamany” na pół. Chciałem wszystko poukładać sobie w głowie. Czym mógł być ten dziwny dźwięk rechotania? Może silnik lub wspomaganie sterowania nie zostało schłodzone, a ropa znalazła ujście. Zauważyłem ciało człowieka około pięćdziesięciu metrów ode mnie. Jak wielkie było moje zdziwienie i radość, kiedy okazało się, że był to Skawiński.

-Skawiński, panie Skawiński, słyszy mnie pan? – krzyczałem.

-Nie krzycz– wyszeptał spokojnie. - Jeszcze żyję.

-Mój Boże. Przepraszam, nic panu nie jest? - odrzekłem z ulgą.

-Co się stało? Pewnie wyciek rozsadził statek – powiedział, nie zważając na moje pytanie.

-Najprawdopodobniej -wypowiedziałem te słowa, podnosząc weterana za rękę.

Po tym jak opatrzyliśmy nasze rany i stworzyliśmy bandaże z ubrań, zaczęliśmy szukać innych ludzi-rozbitków. Nie rozdzielaliśmy się, aby się aby się nie zgubić. Chodziliśmy po lesie i zbieraliśmy małe łodygowate rośliny, z których można by zrobić liny. Problemem było również ustalenie, czy mniemany wyciek miał miejsce dzień przed odzyskaniem przez nas przytomności na wyspie, czy tego samego dnia w nocy, ponieważ „obudziłem” się w południe.

Po pierwszej nocy spędzonej w miejscu, o którym chyba zapomniał sam Bóg i człowiek, mieliśmy już stworzony kadłub łódki, którą postanowiliśmy uciec z tego miejsca. Liny skręcałem ja, Skawiński robił żagle z materiałów z wraku. Bom i maszt mieliśmy zrobić z drewna palmowego, ponieważ było lekkie i wytrzymałe. Wszystko wiązałem podwójnie. Najważniejsze było zebrać dużo wody pitnej do kokosów, a także stworzyć schronienie typu namiot na łodzi. Wieczorem łajba miała piękne żagle przywiązane do bomu. „Namioty” planowaliśmy zrobić z par drzwi ze statku zbitych ze sobą w kształt litery V, tak, aby po odwiązaniu dwóch podstaw od pokładu odgrywały też rolę dodatkowych żagli. Każde z żagli-namiotów robiliśmy kolejnego dnia i do południa wszystko było gotowe. Zostało nam tylko czekać na wiatr od strony wyspy i odpływ. Wtedy właśnie ponowiliśmy poszukiwania rozbitków. Biegliśmy dwie godziny przez plażę i znaleźliśmy Brytyjczyka, który pracował w Stanach jako księgowy. Mówił on książkowym angielskim z potężnym akcentem, lecz w takiej sytuacji dogadać się nie było trudno. Powiedział nam, że znalazł wiele ciał zmarłych, którzy nie mieli tyle szczęścia co my. Stwierdziliśmy, że musimy odpłynąć, a potem sprowadzić pomoc. Mieliśmy szczęście.

Rankiem, skoro świt, zawiał idealny szkwał. Cała trzyosobowa załoga wypchała drewnianą łajbę na wodę. Zaczęła się walka o to, aby wypłynąć za mieliznę. Wiało prosto od wyspy, więc rozwinęliśmy wszystko, co mogło złapać w siebie wiatr. Załamujące się fale miały rozmiary wielorybów, które kładły się wprost na nas. Prosiliśmy Neptuna o litość, krzycząc wniebogłosy przywiązani do łodzi szotami własnej roboty. Jedynie Skawiński nie bał się tak jak my dwaj. W jego oczach malowała się wiara w zwycięstwo z bogiem mórz.

-Trzymaj ster –bosman Skawiński krzyknął tak głośno, że odwrócił się nawet Brytyjczyk, wzywający wszystkich bogów na raz.

Rzuciłem się do steru. Starzec złapał foka szoty, które można było nazwać „namioto-szotami”. Wpłynęliśmy prosto w falę, przebijając ją na wskroś. Udało się. Przepłynęliśmy całą mieliznę. Woda już tutaj była spokojna, jakby w innej części świata. Zaczęliśmy świętować, dziękowaliśmy losowi.

W tym momencie Skawiński wyjął spod pasa mały prostopadłościan dokładnie zawinięty liśćmi. Była to książka. Tak, to dzieło Mickiewicza „Pan Tadeusz”. Skawiński miał je cały czas przy sobie. Wręczył mi książkę bez słowa i się uśmiechnął.

Rejs był leniwy i spokojny, trwał tygodniami. Toń oceanu była jak wielkie lustro, idealna flauta. Patrząc na dzieło Mickiewicza zrozumiałem, że nasza podróż może się nigdy nie zakończyć, pozostawiając nas na morzu. Doszedłem do wniosku, iż muszę zbudować pomnik trwalszy niż ze spiżu, ponieważ tylko to po mnie pozostanie. Wtedy zacząłem spisywać mą opowieść, w nadziei, że ktoś ją odnajdzie i przeczyta.

Maciej Bielecki